

Pablo Neruda

Wdowie tango

O, Niedobra, już na pewno znalazłaś list, już płakałaś ze złości,
już naubliżałaś pamięci mojej matki,
nazywając ją podłą suką i matką psych synów,
już na pewno piłaś sama, w samotności, wieczorną herbatę
patrzac na moje stare buty, opustoszałe na zawsze,
i już nie będziesz mogła wspominać moich chorób, moich nocnych
snów, moich obiadów
bez przeklinania mnie na głos, jak gdybym był
tam jeszcze
i narzekał na klimat zwrotnika, na leniwych kulisów
na zakaźne gorączki, które mi tak zaszkoziły
i na tych okropnych Anglików, których dotąd
nienawidzę.

Naprawdę, o Niedobra, jaka noc długa, jaka ziemia samotna!
Znów znalazłem się w hotelu o jednoosobowych
pokojach,
jadam po restauracjach zimne obiady i znowu
rzucam na podłogę spodnie i koszule,
nie ma wieszaków w moim pokoju, ani żadnych
portretów na ścianach.
Ileż mroków mojej duszy dałbym, by cię odzyskać,
i jak groźne mi się zdają imiona miesięcy,
a słowo zima żalobnym dudni mi bębnieniem.

Zakopany obok kokosowej palmy znajdziesz kiedyś później
nóż, który ukryłem, w strachu, że mnie zabijesz,
a teraz raptem mam ochotę powąchać jego stal
kuchenną
przywykłą do nacisku twojej dłoni i połysku stopy
tkwiąc pod wilgotną ziemią wśród głuchych korzeni
biedak z ludzkiego języka znał tylko twoje imię,
a gruba ziemia nie rozumie twojego imienia,
które powstało z nieprzenikalnych i boskich
substancji.

Więc gdy się tak dręcę wspominając jasny
dzień nóg twoich
wyciągniętych jak wody ziemi stojące i twarde
i jaskółkę, która śpiąc i polatując żyje w twoich
oczach
i psa wściekłego, co mu dajesz w sercu schronienie,
widzę też wszystkie śmiercie co są między nami

od teraz
i wdycham wraz z powietrzem popiół i zniszczenie.
Dałbym wicher z olbrzymiego morza za twój
nagły oddech,
słuchałbym przez długie noce bez domieszki
zapomnienia
jak jednoczy się on z powietrzem, niby bat ze
skórą konia.

Żeby usłyszeć jak po ciemku siusiasz w głębi
domu
rozlewając miód cienki, rozedrgany, argentyński, uparty,
ileż to razy oddałbym krąg cieni jaki posiadam
i szczęk bezużytecznych mieczy, co się w mej
duszy rozlega
i gołąbkę krwi co trwa samotnie w moim czole
przywołując sprawy stracone, istoty stracone,
substancje przedziwnie nieodłączne, a zgubione.
tłum. Zofia Szleyen)

Wczesny błękit

Kiedy obudził mnie łagodny zapach,
ujrzałem gwiazdę,
jak, uśmiechnięta, schodziła mi z oczu;
- uśmiechnięta, że tak przetrwała
całutką noc przede mną
obnażona i wonna, uśmiechnięta.
(tłum. Janusz Strasburger, Józef Birkenmajer)

Uwiązany pies

Przyjście jesieni jest dla mnie tym
uwiązanym psem, mój Srebrzynku,
który szczeka przeciągle i czysto w sa-
motności dziedzińca, podwórka czy
ogrodu, co po południu zaczynają prze-
nikać zimnem i smutkiem... Zawsze,
gdziekolwiek bym nie był, Srebrzynku,
w te dni, które stają się coraz bardziej
żółte, słyszę owego psa uwiązanego,
szczekającego ku zachodowi słońca.
Jego szczekanie, bardziej niż cokol-
wiek innego, przysparza mi radości. Są
to chwile, kiedy całe życie uchodzi w
oddalającym się złocie, jak serce skapca
w ostatniej uncji skarbu, co przepada. A

złoto ledwie istniej, chciwie skupione w
duszy i rozsyłane przez nią we wszyst-
kie strony - tak jak dzieci chwytają
słońce kawałkiem lusterka i przenoszą je
na ocienione ściany, łącząc w jednym
obrazie wizerunek motyla i suchego liścia.
Czeredy wróbli i kosów podrywają
się z gałęzi na gałąź pomarańczowego
drzewa lub akacji, coraz wyżej wstępu-
jąc wraz ze słońcem. Słońce staje się ró-
żowe i lila... Piękno uwiecznia przelotną
chwilę bez tętna, niby umarłą na za-
wsze, lecz jeszcze żywą. A pies przeni-
kliwie i zajadle szczeka na piękno, czu-
jąc być może, jak ono umiera...
(tłum. Janusz Straszburger)

Światło

Czemuż ta woń, co łączy
nieskończoność i ciało,
w popołudniu spokojnym?

Od jakiej nadchodzącej i promiennej
kobiety idzie ku mnie jak wspomnienie
przyszłego szczęścia?
(tłum. Janusz Straszburger)

Staruszki u oceanu

Nad groźne morze chodzą co dzień
staruszki otulone w chustki
na nogach zwątlonych i kruchych.

U brzegu same zasiadają
rąk nie zmieniając ani oczu,
chmur nie zmieniając ani ciszy.

Bezwstydne morze pęka, rwie,
nanosi całe góry trąbek,
potrzasa swoją byczą brodą.
Stare kobiety siedzą ciche,
i jakby z łodzi przezroczystej
obserwują terror fal.

Dokąd chcą pójść i gdzie już były?
Ze wszystkich kątów przybywają,

przychodzą od naszego życia.

Dzisiaj posiadły ten ocean,
chłód jego i żarliwą pustkę,
samotność jego płomienistą.

Z wszystkich przeszłości tu przychodzą,
z domów niegdyś znamienitych
i od rozpalonych zmierzchów.

Na morze patrzą, lub nie patrzą,
na piasku znaki piszą laską,
morze im maści kaligrafię.

Staruszki wolno się dźwigają,
stają na cienkich, ptasich nóżkach,
podczas gdy rozhukane fale
nago na wietrze płyną dalej.
(tłum. Zofia Szleyen)

Madrygał

Spójrz na niego, Srebrzynku. Trzy-
krotnie - niby konik cyrkowy po
swym torze - okrążył cały ogród, biały
jak lekka fala samotna w łagodnym mo-
rzu światła - i znowu zniknął za mu-
rem. Wyobrażam go sobie na krzaku
dzikiej róży, tam z drugiej strony; wi-
dzę go niemal poprzez wapno. Spójrz,
bo już jest z powrotem. Naprawdę to
dwa motyle. Jeden biały - on; a drugi
czarny - jego cień.

Są, mój Srebrzynku, piękności tak
światne, że inne próżno chciałyby je
zaćmić. Jak na twym pyszczku oczy są
czarem największym, gwiazda jest nim
wśród nocy, róża i motyl wśród ogrodu
rankiem.

Srebrzynku, jak ładnie lata! Z jaką ra-
dością musi się unosić! To tak jak dla
mnie, szczerego poety, uciecha wiersza.
Cały, aż po swą duszę, zagłębił się w lo-
cie; zda się, że więcej nic nie obchodzi
go w świecie, chciałem powiedzieć - w
ogrodzie.

Cicho, Srebrzynku... Patrz jeszcze.

O, jak rozkosznie tak lecieć, bez skazy

czystym!
(*tłum. Janusz Strasburger*)

Madrygał zimą pisany

Po morza głębokiego dnie,
przez noc o długich krawędziach
jak koń puszczony w galop pędzi
twe spokojne spokojne imię.

Za swoimi plecami umieść mnie i chroń,
ukaż mi się w lusterku
nad liściem samotnym i nocnym,
co z mroku za tobą wyrasta.

Kwiecie światła błogiego w spełnieniu,
usta przynaglaj w pocałunkach,
usta gwałtowne od ciągłych rozstań,
usta odważne i delikatne.

Tymczasem teraz na długość długości
od zapomnienia do zapomnienia
ze mną mieszkają szyny, deszczu krzyk:
to zabezpiecza noc i najciemniejsza.

Spowiń mnie w tkaninę zmierzchu,
gdy ten pod wieczór pracowicie
kostium swój szyje, a w niebie pulsuje
wichrami napęczniała gwiazda.

Zbliż mi nieobecność swoją aż do dna,
całym ciężarem, oczy zasłaniając,
niech mnie przeniknie istnienie twoje,
jako że serce moje zdruzgotane.
(*tłum. Zofia Szleyen*)

Kwiecień

Ptak w gałęziach topoli.
- I co dalej?
- Topola w błękitnym niebie.
- I co dalej?
- Niebo błękitne w wodzie.
- I co dalej?
- Woda w każdym świeżym płatku.
- I co dalej?
- Świeży płatek w róży.

- I co dalej?
- Róża w moim sercu.
- I co dalej?
- Moje serce w twoim.
tłum. Jan Zych)

Pogrzeb na Wschodzie

Pracuję w nocy, a wokół mnie miasto,
rybacy, garncarze, nieboszczyki pieczone
z szafranem i owocami, owinięte w szkarłatne
muśliny;
pod moim balkonem ci straszliwi zmarli
ciągną przy brzęku łańcuchów, a z miedzianych
fletów
gwizd się dobywa ostry, cienki, żalobny
wśród kolorów ciężkich, zatrutych kwiatów
i krzyków popielnych tancerzy
i rosnącej monotonii tamtamów
i dymu od płonącego drewna, które pachnie.

Gdy miną bowiem drogę obok mętnej rzeki
ich serca, które bić ustaną, lub w ruch tym
większy się wprawia,
potoczą się, zwęglone, wraz z nogą i stopą w
ogniu
i drżący popiół opadnie na wodę,
popłynie, jak bukiet wyprażonych kwiatów
lub zgaszone ogniska, które zostawili podróżni
tak wspaniali,
że na czarnych wodach coś piekli, a wchłonęli
tchnienie wygasłe i napój ostateczny.
tłum. Zofia Szleyen)

Nie ma zapomnienia (sonata)

Jeśli mnie spytacie, gdzie bywałem,
winienem odpowiedzieć: "To się dzieje".
Winienem mówić o ziemi, którą zaciemniają głązy,
o rzece, która niweczy się trwając;
nic nie wiem prócz tego, co tracą ptaki
i morze co za mną zostało, lub płacząca siostra.
Czemu tyle okolic, czemu jeden dzień
z drugim się łączy? Czemu noc czarna
w ustach się gromadzi? Czemu umarli?

Że mnie pytacie, skąd przybywam, muszę rozmawiać z rzeczami

zdartymi,
z przedmiotami, co nazbyt żalosne,
z wielkimi bestiami, często przegniłymi
i z własnym, ściśniętym sercem.

Nie są to wspomnienia, które się krzyżują,
ni żółtawa gołąbka śpiąca w zapomnieniu,
tylko twarze we łzach,
tylko palce przy krtani
i to co z liści się stacza:
ciemność jednego ubiegłego dnia,
dnia wykarmionego naszą smętną krwią.

Ot, tutaj fiołki, jaskółki,
wszystko co lubimy i co się pojawia
na miłych pocztówkach z długim trenem,
po których spaceruje łagodność i czas.
Nie przekraczajmy jednak bariery tych zębów,
nie przegryzajmy skorup, które nakłada milczenie,
bo nie wiem, co odpowiedzieć:
tylu jest umarłych,
tyle falochronów ciętych przez czerwone słońce
i tyle głów przez statki obijanych
i tyle zaciśniętych dłoni na pocałunkach
i tyle spraw, o których pragnę zapomnieć.
(tłum. Zofia Szleyen)